NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. **Kraków, 24 lipca 1915.** **Nr. 30.**

Wymarsz Legionistów ze Lwowa.



Wymarsz Legionistów ze Lwowa.

(Do illustracyi tytułowej).

Długo gospodarowaii Rosyanie w stolicy naszego kraju. Nie pomogły jednak ani gwałty, ani obietnice. Ludność zachowywała się roztropnie i rozważnie, ale nie dała się nastraszyć i nie poszła na lep rzekomej przychylności władz rosyjskich.

Lwów, jak był, tak i pozostał polskim.

Pomimo wybryków żołnierstwa, pomimo rewizyi i aresztowań, dokonywanych przez „ochranę“, we Lwowie zdołało ukryć się i przebyć szczęśliwie inwazyę rosyjską mnóstwo żołnierzy austryackich i Legionistów. Nawet wielu jeńców, przyprowadzonych przez Rosyan do Lwowa, zdołało umknąć i dzięki pomocy ludności ukrywali się aż do wkroczenia wojsk austryackich. Zatrudnieni w rozmaitych przedsiębiorstwach w czasie inwazyi rosyjskiej jako zwykli „cywile“, zgłosili się natychmiast do służby w armii austryackiej, gdy wreszcie Lwów został wyswobodzony...

Przetrwali również szczęśliwie inwazyę rosyjską i liczni Legioniści. Zaskoczeni nagłem wkroczeniem wojsk rosyjskich, musieli pozostać we Lwowie, ale rządy rosyjskie nie złamały bynajmniej ich ducha. Otoczeni troskliwą opieką ludności, zdołali tak się ukryć, że nie potrafiła ich wyłowić nawet „ochrana“... A gdy wreszcie skończyło się panowanie Rosyan, którzy w popłochu musieli uciekać ze Lwowa, na wezwanie władz legionowych zgłosiło się tam 2000 Legionistów. Jakby z pod ziemi wyrośli, po kilkomiesięcznej niewoli, stawili się na apel i poszli w szeregi armii polskiej.

Wyjazd ich na pole walki, gdzie z takiem bohaterstwem walczą ich towarzysze, stał się też we Lwowie wielką manifestacyą patryotyczną... Tłumy publiczności odprowadziły ich do dworca kolejoweg[o] i obrzuciły kwiatami... Ten uroczysty pochód Legi[o]nistów polskich, w ulicy Batorego, widzimy na n[a]szej tytułowej illustracyi.



Szlakiem bojowym Legionów: Ruiny na pozycyi.

Nowy namiestnik Galicyi.

Na mocy rozporządzenia cesarskiego z dnia 19. lipca r. b. namiestnikiem Galicyi został prezydent najwyższego trybunału wojskowego, generał piechoty tajny radca Herman Colard.

Nowy namiestnik urodził się w r. 1857 w Stanisławowie, a do gimnazyum uczęszczał we Lwowie. Odbywszy następnie studya wojskowe w Wiener Neustadt, jako porucznik przez cztery lata pełnił służbę wojskową w Jarosławiu i Przemyślu, poczem uczęszczał do szkoły wojennej w Wiedniu, a po jej ukończeniu przydzielony został do wyższych komend



Szlakiem bojowym Legionów: Grupa oficerów II. pułku I. brygady, który w bitwie pod Konarami w dniu 16 czerwca b. r. wykonał świetny atak na Swojków.

w Galicyi, jako oficer sztabu generalnego. Przebywszy kilka lat na różnych stanowiskach w Wiedniu i Serajewie, generał Colard w r. 1897 powrócił do Lwowa, jako komendant 24 pułku p. Mianowany następnie generał-majorem. został komendantem 24 dywizyi wojsk piechoty w Przemyślu, a w roku 1911 komendantem fortecy przemyskiej. W listopadzie 1913 roku otrzymał tytuł i charakter generała piechoty, a wmarcu 1914 został powołany na stanowisko prezydenta najwyższego trybunału wojskowego w Wiedniu, skąd powraca obecnie na odpowiedzialne stanowisko namiestnika Galicyi. Przepędziwszy znaczną część czasu swej służby w tym kraju, nowy szef Galicyi, władający językiem polskim, obznajmiony jest dokładnie ze stosunkami miejscowemi, co pozwoli mu z pewnością rozwinąć działalność pożyteczną zarówno dla państwa, jak i dla kraju, tak srodze dotkniętego klęskami wojny.



Nowy namiestnik Galicyi: J. E. jenerał piechoty Herman Colard w rozmowie z naczelnym wodzem armii arcyksięciem Fryderykiem.

Szlakiem bojowym Legionów.

Legiony polskie, gdzie tylko walczyły, czyto w Karpatach, czy na terenie Królestwa Polskiego, wszędzie swem męstwem i dzielnością okryły znowu sławą oręż polski i zdobyły uznanie naczelnej komendy. I w obecnej zwycięskiej ofenzywie armii austro-węgierskiej Legiony brały udział, a ich zasługom w tych walkach wyraził uznanie wódz naczelny armii, arcyksiążę Fryderyk, który do komendy polskich Legionów wystosował następujący telegram:

„Według raportu komendy drngiego korpusy armii, pierwsza brygada Legionów, działająca w obrębie tego korpusu, w walkach w czasie od 18 do 25 maja przez pełną heroizmu i ofiarności interwencyę w krytycznej sytuacyi, oraz podczas zdobycia szturmem przyczółka mostowego Józefów w dniu 2 lipca szczególnie się wyróżniła. Za czyny te wyrażam pierwszej brygadzie i jej znakomitemu wodzowi, brygadyerowi Piłsudzkiemu, moje uznanie w imieniu Najwyższej służby“.

Odznaczyli się również Legioniści i w bitwie pod Konarami w dniu 16 czerwca, w której II. pułk I. brygady wykonał świetny atak na Swojków.

Niestety, na wojnie sławę zdobywa się przez krew i śmierć... Zwycięski atak pod Konarami Legioniści opłacili szeregiem nowych mogił... Na jednej z illustracyi naszych widzimy właśnie, gdy Legioniści oddają ostatnią posługę swym poległym pod Konarami towarzyszom broni.

Pozatem, idąc „szlakiem bojowym Legionów“, zamieszczamy w dzisiejszym numerze grupę oficerów II. pułku I. brygady, którzy odznaczyli się w bitwie pod Konarami, dalej ruiny na pozycyi w Królestwie Polskiem.

Odznaczenie krakowskich żołnierzy policyjnych.

(Do illustracyi na stronie 13)

W czasie wojennym, który trwa już prawie rok cały, miała nasza straż policyjna, tak cywilna, jak wojskowa, wiele trudności do zwalczenia, z zadania swego wywiązała się przecież zawsze ku ogólnemu zadowoleniu tak władz przełożonych, jak i publiczności. Zasługa to kierownictwa, które spoczywa w wypróbowanych rękach kapitana W. Kalika i całego grona oficerów, ożywionych jak najlepszymi chęciami. Za wzorowe i pełne oddania się pełnienie ciężkiej służby policyjnej przedstawiono też do Najwyższego odznaczenia cały szereg podoficerów straży wojskowo-policyjnej, którym przyznano srebrne krzyże zasługi na wstęgach medalu waleczności.



Z walk w Galicyi: Oficerowie austryaccy w czasie przerwy w strzelaniu odpoczywają przy działach na pozycyi.

Uroczyste wręczenie odznaczeń odbyło się w niedzielę, dnia 18 lipca, na podwórzu koszar przy ul. Starowiślnej. Dokonał go kapitan Kalik wobec całego korpusu straży wojskowo-policyjnej.



Ślady rosyjskiej gospodarki w Galicyi: Zasieki, urządzone przez Rosyan w czasie ich odwrotu.



Szlakiem bojowym Legionów: Groby Legionistów, poległych w bitwie pod Konarami.

Z walk w Galicyi.

Gdy nieprzyjaciel został wreszcie wypędzony z Galicyi, teraz dopiero dochodzą coraz dokładniejsze szczegóły zarówno o walkach, jakie stoczono z nim na terenie galicyjskim, jak i o zniszczeniu, jakie pozostawił w naszym kraju... Teraz dopiero otrzymujemy też od naszych korespondentów i przyjaciół najautentyczniejsze dokumenty wojenne, bo zdjęcia fotograficzne, illustrujące zarówno szkody wyrządzone przez Rosyan, jak i epizody z działalności i życia zwycięskiej armii podczas wypierania Rosyan... W szeregu tych illustracyi, jakie z ostatnich walk w Galicyi już zamieściliśmy, w dzisiejszym numerze podajemy widok zburzonego przez Rosyan dworu w Zgłobicach, stacyę austryackiego telefonu polowego w lesie i inne.



Ślady rosyjskiej gospodarki: Cmentarz w jednem z miast naszego kraju, ostrzeliwany granatami przez Rosyan.

WŁODZIMIERZ SULIMA POPIEL.

ŚLĄSKI BOHATER.

(Opowiadanie rannego Legionisty).

Sala była długa, wysoka. Szeregiem wzdłuż ścian ciągnęły się szpitalne łóżka, na których leżeli ranni Legioniści, z placu boju niedawno przyniesieni.

Ciche, zdławione jęki, głębokie westchnienia, urywane jakieś wyrazy i wołania, wraz z rozełkanymi akordami wichru, zawodzącego za oknami, rozbrzmiewały tutaj bolesną, żałobną muzyką.

Zdawało się, że jakieś złowrogie zjawy czają się po kątach, że kryją się poza łóżkami rannych i wyciągają długie, niewidzialne ręce, po swoją krwawą dań... Ciężkie przygnębienie unosiło się jak brzemienna chmura.

Pod burą derką leżał młody chłopak z płową czupryną, wyciągnięty, bez ruchu. Oczy miał przymknięte, twarz lekko skrzywioną, na której drgały cienie przeżywanych cierpień.

Wraz ze znajomym swoim Bolkiem, Ślązakiem, u którego mieszkałem parę miesięcy jako galicyjski uchodźca, przybyłem w odwiedziny do rannego.

Bolek usiadł na krawędzi łóżka, ja zaś stanąłem obok i w milczeniu rozglądaliśmy się obaj po sali, w oczekiwaniu na przebudzenie się Legionisty. Dopiero po długiej chwili ranny chłopak ocknął się ze snu. Z jakimś dziwnie bolesnym uśmiechem spojrzał zdziwiony na Bolka i na mnie, wyciągnął z pod derki wychudłą prawicę i począł nas witać.

— Bolek... a ty skąd aż tutaj? Co słychać? Kto cię powiadomił, że jestem ranny?

Między dwoma przyjaciółmi rozpoczęła się dłuższa rozmowa. Stałem obok i bacznie ich słuchałem.

Ranny, jakby zapomniał o swoich cierpieniach, wsparł się na ręce i jął Bolka wypytywać o rodzinę, kolegów i znajomych. A kiedy wspomniał o swojej ranie i kolegach obozowych, oczy zaszły mu naraz łzami i wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem:

— A wiesz o tem, że nasz Rudek Nardelli nie żyje.

— Co... Rudek? — poderwał zdziwiony Bolek, przejęty nagle tą smutną wieścią.

— Nie żyje Rudek... nie żyje... — odparł cicho Legionista.

— Gdzie... kiedy padł? Pierwszy raz od ciebie słyszę!...

Wtedy młody Ślązak osunął się na poduszkę, oczy przywarł na chwilę i pogrążył się w ciszy swoich zadumań, w których budziły się zamarłe — przełzawione wspomnienia.

— Pod Maksymcem padł... pochowaliśmy go w Rafajłowej!... — ozwał się wreszcie szeptem, jakby sam do siebie.

Gdym słuchał jego słów, jakaś modlitewna tkliwość zawładnęła mojem sercem, ból dojmujący przytłoczył duszę, a myśli skłębiły się w dziwnym chaosie.

I choć nie widziałem nigdy tego bohaterskiego Rudka Nardellego, tylko znaną mi była ta postać z fotografii i licznych opowieści, stanął mi teraz przed oczyma ten młody, kochany żołnierz polski — entuzyasta, który jeden z pierwszych z śląskimi Legionistami poszedł na męczeństwo i śmierć, w tej nadziei, że owocnemi będą jego ofiarność i wysiłki.

Przytłoczony smutnemi myślami, przejęty jękami rannych, otulony melancholią, unoszącą się w sali, zwiesiłem głowę i słuchałem, jak ranny Ślązak począł teraz prawić swoją smutną opowieść. W głosie jego drgała nuta serdecznego rozrzewnienia, lśniły łzy głębokiego żalu.

— Dobrze, żeś przyszedł, Bolek. — rozpoczął swoją opowieść, biorąc mego przyjaciela za rękę — Jeśli będziesz miał sposobność, to daj wiadomość rodzicom Rudka o nieszczęściu... Podporucznik Łysek, choć ranny, pisał już do jego brata o tej smutnej nowinie... Może już ją otrzymał... Boże mój, Boże! Do dziś nie mogę się pogodzić z tą myślą, że niema już Rudka między nami, że utraciliśmy na zawsze tego ukochanego kolegę, serdecznego druha i wiernego towarzysza broni... Teraz, nikt nam go już nie zastąpi... W nikim nie znajdziemy już takiego pocieszyciela, dodającego wszystkim hartu i otuchy, i budzącego w kolegach obozowych tyle wiary w lepszą, słoneczniejszą przyszłość... Nie wrócimy już z nim po tej wielkiej wojnie do śląskiej ziemi, nie będzie dzielił naszych radości ni smutków, bo służbie, której się poświęcił, oddał już swoje życie i krew serdeczną... A nie chciał nawet ugiąć się przed chorobą, która po dwóch operacyach podkopywała jego siły. Dano mu w kancelaryi pracę, ale niedługo nią się zajmował. Gorąca chęć walki i odraza do gnuśności, pchały go w szeregi walczących. Więc pomimo słabych sił zawsze miał hart ducha. Ani perswazye doktora, ani też rady towarzyszy broni nie zdołały go odwieść od powziętego zamiaru. Służbę w kancelaryi odstąpił swojemu niezbyt zdrowemu koledze, a sam poszedł do służby liniowej. Pamiętam dobrze ten wieczór... pamiętem... Siedziałem wtedy w domu opatrunkowym. Było tam kilku kolegów i doktor. Wszedł Rudek, pobladły, zmizerowany, zmarznięty... Tylko oczy świeciły mu się dziwnym, fosforycznym blaskiem. Zalecił mu doktor spoczynek... do szpitala odesłać go kazał... Rudek nie chciał.

— Nic mi nie jest... zdrów jestem! — odparł zaraz, jakby urażony, że posądzają go o chorobę.

I tegoż jeszcze wieczoru, kiedy okazało się koniecznością zbadanie stanowisk nieprzyjacielskich, plutonowy Rudek Nardelli z kilku śląskimi ochotnikami, między którymi i ja byłem, poszedł na nocny patrol...

Było to z 2 na 3 lutego 1915 roku.

Noc mroźna, pogodna, księżycowa... Biel śnieżna



Ś. p. Rudolf Nardelli.

grubym całunem okryła ziemię. Kilka chmurek, jak potargane szmaty wlokły się leniwo po niebiosach, przybierając dziwne, fantastyczne kształty. Chwilami chował się za niemi księżyc, a wtedy mrok padał na śnieżne całuny, czasem wiatr mroźny powiał od gór, przewalił się z tajemnym szmerem po ziemi, potrącił gałęziami drzew i w dal z westchnieniem popłynął. Nikłymi zarysami — jak widma w białych kapturach — otaczały nas wokoło wzgórza. Patrol nasz szedł powoli w milczeniu. Rudek postępował pierwszy, rozglądając się bacznie. Przeprawa była niedaleka, ale niezmiernie trudna, bo oto przestrzeń, która roztoczyła się teraz przed nami, była otwarta, bez jakiegokolwiek krycia. W dali majaczył dom jakiś, w stronę którego skierowaliśmy nasze kroki. Zaledwie jednak znaleźliśmy się przy budynku, poczęły sypać się w stronę naszą gęste strzały nieprzyjacielskie...

Patrol nasz został spostrzeżony...

Wtedy Rudek jakby ożywił się nagle. Zadanie nasze było już spełnione, gdyż wiedzieliśmy o stanowiskach nieprzyjaciół, teraz należało pomyśleć o rychłym odwrocie. Ale trudne to było zadanie, bo księżyc wypłynął właśnie z poza chmur, a śnieżny całun, po którym należało robić odwrót, leżał jak rozpostarty obrus.

Pojedynczo więc wysyłał nasz dzielny dowódca ludzi z powrotem, a każdy swoim sprytem musiał radzić sobie, jak mógł, umykając z niebezpiecznej kryjówki. Na ostatku pozostałem z Rudkiem sam. Wtedy on zwrócił się do mnie i jął mi ściskać rękę.

— Teraz czas na ciebie — mówił do mnie gorączkowo — Strzały padają tutaj coraz gęściej, nie trać ani chwili czasu.

Począłem się ociągać i jego najpierw wysyłać, wkońcu zaproponowałem, abyśmy obaj razem się wymykali. Ale nie chciał. Odwołał się na obowiązek służbowy, że jako dowódca patrolu musi dotrwać ostatni na posterunku i zbadać jeszcze rezerwy nieprzyjacielskie. Poczem podał mi znowu rękę, serdecznie moją uścisnął i szepnął rozkazująco:

— Idź zaraz!... Da Bóg, obaczymy się za chwilę..

A gdybym, wiesz... gdybym nie wrócił... to wszystkich kolegów i rodzinę moją serdecznie pozdrów... pożegnaj... a ją także... pamiętaj... powiedz... że do ostatniej chwili byłem myślą przy niej!...

I w tej chwili serce jego i dusza streszczone były całe w tych słowach. Płynęła od nich jakaś żałosna skarga i płacz, które wżarły się w me serce gryzącem cierpieniem. Dojmujący ból uczułem w piersiach, zdało mi się, że anioł śmierci uderzył skrzydłami i chłód grobowy między nami powiał...

Rozkaz był — musiałem słuchać!... Począłem przekradać się sam, Rudek został ostatni. A strzały nieprzyjacielskie całą ulewą sypały się bez ustanku w tę stronę, którą nasz patrol przeprawiał się pojedynczo do obozu. Kiedy dotarliśmy w pobliże naszych pozycyi, zatrzymaliśmy się w oczekiwaniu na Rudka. Ale on nie wracał. Mijały kwadranse i godziny, strzały umilkły... Nigdy w życiu nie wydał mi się czas tak długim, a oczekiwanie tak bolesne i denerwujące, jak w tę noc nieszczęsną...

Zbudził się wreszcie świt. Boże mój!... Rudka nie było. Rozesłano zaraz patrole na poszukiwania. Daremny jednak był trud, naszego serdecznego druha nie odszukano. Znaleziono tylko kilka listów i papierów, należących do niego. Byliśmy pewni, że został wzięty do niewoli, albo też — jak większość nas sądziła — przekradł się między zarośla i z powodu bliskości nieprzyjaciół przedostać się do nas nie może. Tak minął cały dzień na daremnem poszukiwaniu. W dniu następnym zajęliśmy Maksymiec, poczem ruszyliśmy do Rafajłowej. Ale Nardellego nie było — przepadł nam bez wieści. Zaniepokojenie w naszej śląskiej kompanii było wielkie.

— Gdzie on? Co się stać mogło? Czy żyje? — pytał jeden drugiego i lęk jakiś nas ogarniał, lodowatą ręką chwytał za serce i drżeniem niepewności o życie jego owładał.

Aż nadszedł wieczór 7 lutego. Ktoś rzucił w naszej kwaterze, że sanitaryusze wracają z Maksymca. Gnębieni ciągle myślą, co się stało z naszym kochanym Rudkiem, wyszliśmy gromadnie po wiadomości o nim. Zajechały sanki, wszyscy otoczyli je kołem.

— Rudek!... Rudek!... — ozwało się naraz wołanie ze wszystkich piersi.

Ale płacz serdeczny wnet zerwał się w naszej gromadce, kiedy obaczyliśmy go na sankach bez życia. Z dziwną, majestatyczną powagą na ustach, leżał zesztywniały, głuchy już na nasze wołania, trzymając w skurczonych palcach karabin — tak, jak znaleźli go sanitaryusze na śnieżnych polach Maksymca, gdzie poległ w walce z sierżantem rosyjskim, którego położył trupem obok siebie...

Nas, śląskich towarzyszów broni, śmierć Rudka okryła ciężką żałobą... Dusze nasze pogrążyły się w dziwnem odrętwieniu... W poległym straciliśmy tę świetlaną postać, która była wzorem i przykładem polskiego żołnierza, oraz zacnego obywatela. Bo, jak prawym i ofiarnym był dawniej na stanowisku nauczyciela w Dąbrowie, albo też w działalności swojej na niwie śląskiego „Sokoła", takim też pozostał i w służbie legionowej. O kolegów troskał się bardziej jak o siebie, dlatego też ta jego uczynność, ta koleżeńska miłość zjednała mu w obozie serca wszystkich...

Legionista przerwał na chwilę swoje opowiadanie, przymknął oczy i westchnął głęboko.

Za oknami wiatr zawodził i przewalał się z hukiem nad ziemią, drzewa kołysały się ciężko, poszum rozlegał się wokoło trwożny i posępny. Na sali mrok rozpościerał zwolna skrzydła, czaił się po kątach i otulał łóżka chorych. Ciche jęki, rozełkane, przyduszone głosy, urywane słowa pacierza, albo też stłumiony kaszel rozbrzmiewał po sali, pełnej jakiegoś niewysłowionego lęku.

Oparty o łóżko stałem zatopiony w smutnych rozmyślaniach. Zdawało mi się, że jakieś straszliwe tryby obracają się w przestworzach bytu, że miażdżą i nicestwią ludzkie żywoty, jęki i łkania rozlegają się wokoło, a łzy ich serdeczne wżerają mi się w serce strugą rozpalonej lawy. Jakieś mocarne wichry przez mózg mi się przewalały...

Ocknąłem się dopiero na odgłos dalszych słów rannego Ślązaka.

— W Rafajłowej, koło kościoła, pochowaliśmy naszego kochanego Rudka, razem z innymi Legionistami śląskimi, poległymi w Maksymcu... Wielu

miał na pogrzebie swoim oficerów polskich i austryackich... Był i pułkownik Haller... Nas, Ślązaków, garstka tylko była na pogrzebie swojego komendanta... Ci tylko koledzy, co z nim poszli na ten bój święty... ci, którym los nie kazał jeszcze spocząć w mogile — oddali mu ostatnią przysługę... Ale nie było jednego w tej żałobnej drużynie, któryby nie płakał nad jego mogiłą... A w nagrodę czynów i porywów szlachetnych, w nagrodę tej krwi serdecznej, którą na odzew Matki-Ojczyzny bez wahania poświęcił, wziął nasz kochany Rudek nie ten złoty medal zasługi, którym udekorowano go za waleczność i bohaterstwo, ale ten prosty, biały krzyż brzozowy, na którym wędrowny ptak czasem usiędzie i do snu wiecznego śpiewać mu będzie pieśń o Polsce, za którą swój młody żywot położył!...

Tu ranny przerwał swoje opowiadanie i odwrócił twarz na bok, jakby chciał przed nami ukryć łzy, które spływały mu po twarzy.

KONIEC





Dwór w Zgłobicach, zniszczony przez Rosyan. **Z walk w Galicyi:** Telefon polowy w lesie.

Opieka nad młodzieżą szkolną w czasie wojny.

Pod koniec marca b. r. zawiązał się w Krakowie „Komitet tymczasowej opieki nad młodzieżą szkolną“, który w krótkim czasie zorganizował kilka szkółek i kursa robót dla dziewcząt na przedmieściach naszego miasta, aby ratować naszą dziatwę, pozbawioną dobrodziejstwa nauki szkolnej, przed zdziczeniem i demoralizacyą. W skład komitetu wchodzą: p. Sebalda Münnichowa, przewodnicząca, ks. prof. Jan Masny, pp. Kazimiera Furmankiewiczówna, Marya Nowicka, Julia Bombicka, Marya Mayerberg, Augustyna Stypkowska, Zofia Korczyńska, Apolonia Kułakowska, Zofia Hankiewiczówna, Helena Grotówna, Marya Szarłowska, Alina Nitschówna, Marya Sacharkówna, Helena Okrucińska, Marya Lilling.

Komitet otworzył następujące szkółki:

Czteroklasową szkółkę na Czarnej Wsi w budynku szkolnym, do której zgłosiło się 152 dzieci, chłopców i dziewcząt. Nauki udzielają pp. Anna Kruczkowska w klasie I., Hybałówna Stanisława w klasie II., Kisielewska Olga w klasie III., a Kielarówna Marya i Chalawówna w klasie IV.; kierowniczką jest p. Alina Nitschówna. Nauki religii udzielają: ks. dyr. Zieliński i ks. Wroński, Misyonarze z Nowej Wsi.

Czteroklasową szkółkę na Krowodrzy, w której po kilku tygodniach podjęło systematyczną naukę nauczycielstwo etatowe.

Dwuklasową szkółkę na Półwsiu Zwierzynieckiem w budynku starej ochrony. Dzieci zapisało się 32, klasę I. prowadzi p. Helena Bachowska, klasę II. p. Józefa Filińska, a kierowniczką jest prof. Marya Szarłowska.



Opieka nad młodzieżą szkolną w czasie wojny: Szkółka na Czarnej Wsi w Krakowie podczas pauzy.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

4

— Mój Boże! Jestem szczerym przyjacielem turystów, ale skoro przyjeżdżają tutaj, aby się pozbyć pieniędzy, dlaczegoż nie mam i ja skorzystać. A czasem bywa, że i ja daję...

— Oh! czy to możliwe?

— Tak jest, właściwie pożyczam. Gdy takiemu cudzoziemcowi braknie złota, to ma jeszcze kosztowności, listy zastawne, garderobę bogatą, złote lornetki, kufry, nesesery. Uwalniam ich od tych drobiazgów, dając wzamian kwotę, potrzebną na podróż powrotną.

— To wspaniałe!

— Nie zdaje ci się to podobać. A jednak zaprowadzić cię to może daleko, zważywszy znajomości wpływowe, jakie się zawiera.

— Tak, na inspekcyę policyi.

— To jeszcze nie dożywotnie więzienie, pamiętaj Delrue — rzekł znacząco aferzysta.

— Pan znajdzie odpowiedź na wszystko — odparł Andrzej ze słodkim uśmiechem na twarzy.

— Ano, robi się, co może. Teraz, chodź, mój kochany, pokażę ci moje składy. Znajdziemy w nich wytworne ubranie dla ciebie. Mam właściwie pod ręką, co mi potrzeba. Pozostałość po jednym Angliku, który, lekkomyślnie po dwóch tygodniach wspaniałej zabawy, w łeb sobie strzelił.

— Wyglądasz jak ambasador — zawołał Collin Megret, gdy Andrzej zrzucił swoje zniszczone ubranie, a włożył garnitur angielskiego lorda. — A teraz do roboty! Pociąg pospieszny z Calais przybywa za kilka minut. To dobra gratka dla nas. Staraj się rozdać jak najwięcej prospektów. Ale à propos, zalecać trzeba usilnie kantor barona de Bressien.

— Barona de Bressien? Tego miliardera?

— Tak! tak! Dostawca moich kapitałów! Dziwi cię to? Trudno, mój drogi! Człowiek zawsze musi od kogoś zależeć.

— — — — — — — — — — — — — —

Biura ajencyi Collin-Megret mieściły się na pierwszem piętrze, na dole był sklep z wejściem od ulicy, po drugiej zaś stronie sieni znajdował się magazyn mód, łączący się dyskretnie z ubikacyami pierwszego piętra małymi, krętymi schodami, zręcznie zamaskowanymi ciężką draperyą. Na jednej ścianie klatki schodowej widniał napis: „Przewodnik światowy“, na drugiej: „Pani Wiktorya“ — modystka.

Pani Wiktorya, była to kobieta czterdziestoletnia, dobrze zakonserwowana na swój wiek. W pracowni jej, zawsze ruchliwej i pełnej gości obojga płci, pracowano do późnego wieczora, a niekiedy bawiono się noc całą, gdyż wspaniałomyślna kierowniczka pracowni wydawała od czasu do czasu tańczące herbatki dla swoich robotnic i ulubionych klientek.

Pracownia miała dwa wejścia, jedno od ulicy, drugie przez główne schody.

Pani Wiktorya słynęła z dobrego serca i usłużności w całej dzielnicy. Przychodziła z pomocą wytworniejszej swojej klienteli w chwilach przykrzejszych, przyjmując chwilowo zastawy, pożyczając niewielkie sumy pieniężne, to znowu służąc w delikatnych sprawach radą rozumną i doświadczoną, wróżąc z kart i ręki, słowem prowadziła na małą skalę ten sam proceder, co zacny jej sąsiad pan Collin-Megret.

Nie uszło to uwagi Andrzeja Delrue, zajmującego już przy wydawcy „Przewodnika“ rolę sekretarza.

Zacną tę parę musiała łączyć wspólność interesów, a może i małżeństwo.

Zauważył bowiem, że w pewnych identycznych godzinach pan Collin-Megret i pani Wiktorya udawali się zamaskowanymi schodami na górne piętro i znowu pojawiali się równocześnie, ona w pracowni, on w kantorze o tej samej porze. I tu, i tam odkrył Delrue mały telefon lokalny, komunikujący z obydwoma mieszkaniami. Delrue wkońcu doszedł do odkrycia, że para ta spotykała się przy wspólnem śniadaniu i obiedzie.

Ale dlaczego zachowywali tyle ostrożności? Dla Andrzeja już jasnem było, że „Przewodnik“ pana Collin-Megret i „Mody“ pani Wiktoryi, to jedno przedsiębiorstwo. Kogóż więc oszukać chcieli ci ludzie, zachowując taką dyskrecyę w stosunkach wzajemnych? Spotkawszy się na schodach, witali się skinieniem głowy jako zwykli sąsiedzi.

Tajemnicę tę Andrzej Delrue postanowił zbadać, przeczuwając pod nią coś, co mogłoby mu być potrzebne jako atut w ręce wobec pryncypała, którego teraz być musiał jeszcze zasprzedanym niewolnikiem.

Jednego wieczora, kiedy Andrzej towarzyszył jako cicerone grubemu Wiedeńczykowi po wszystkich spelunkach nocnych Paryża, usłyszał, jak ktoś wołał za nim radośnie:

— Delrue! Delrue! Nie poznajesz mnie? Kermor z lyceum w Rennes! To nie ładnie z twojej strony tak zapominać o kolegach!

Młody człowiek wytwornej postawy szedł ku niemu z ręką wyciągniętą do uścisku.

Delrue znalazł się w przykrem położeniu. Przypomniał sobie, że jeszcze za czasów studenckich wyłudził był większe sumy pieniężne od zamożnego kolegi, o które ten mógł się teraz upomnieć, a z drugiej strony nęciło go utrzymanie znajomości z człowiekiem tej sfery.

Zdecydował się jednak prędko; pozostawił swojego klienta, zajętego ożywioną rozmową z jakiemiś kobietami na prędce poznanemi, i przysiadł się do stolika Henryka de Kermor.

— Pozwolisz, że zjemy kolacyę? — zaproponował młody hrabia z serdeczną uprzejmością.

— O nie, dziękuję ci. Jestem zmuszony ci odmówić!

— Żartujesz chyba! Dlaczegóż to?

— Bo nie byłbym w stanie zrewanżować ci się — odpowiedział Delrue rozmyślnie — A pamiętam jeszcze zobowiązania, zaciągnięte względem ciebie.

— Ależ Andrzeju! Co to za żarty! Nie pojmuję, jak możesz zachowywać się w ten sposób wobec dawnego towarzysza.

— Tak, byłeś towarzyszem mojej przeszłości, ale dziś sytuacya się zmieniła. Dziś, ty jesteś hrabią de Kermor, dziedzicem wielkiej fortuny, a ja jestem niczem.

— A więc, mój biedaku, nie poszczęściło ci się w życiu? Sądziłem, że jesteś już adwokatem lub doktorem. Przy twojej inteligencyi...

— Co chcesz, mój drogi, wiesz, że ojciec mój był prostym rolnikiem; umarł nagle, nie pozostawiwszy mi funduszów, potrzebnych do ukończenia studyów.

— A więc z czego ty żyjesz teraz?

— Z nędznej pracy, którą utracić mogę dnia każdego. Jestem sekretarzem jakiegoś doradcy prawnego, z pensyą wynoszącą sto franków miesięcznie.

— Ależ to doprawdy ostatnia nędza — zawołał wzruszony młody hrabia,

— Henryku, mógłbyś mnie wyratować, wynaleźć coś lepszego trochę.

— Tak, tak, pomyślę o tem, bądź pewny. A teraz ani słowa więcej! Idziesz ze mną na kolacyę.

Gdy znaleźli się w gabinecie pierwszorzędnej restauracyi i po wystawnej kolacyi zapalili cygara, Henryk de Kermor rzekł poważnie, ściskając towarzysza za rękę.

— Andrzeju! Może mi wyrządzisz wielką, niezapomnianą przysługę.

— Ja? Tobie?

— Tak, ty mnie. Jesteś człowiekiem wielkiego serca i wysokiej inteligencyi. Daj rękę na znak, że nie odmówisz mojej prośbie. Chcę ci powierzyć zadanie trudne i bardzo delikatnej natury. Możesz uratować od nieszczęścia moją biedną matkę i ojca.

— Henryku! Nie rozumiem cię.

— Zaraz zrozumiesz, posłuchaj tylko.

W kilku słowach młody hrabia wtajemniczył przyjaciela w smutne przejścia swoje i rodzinne. Ojciec jego z lekkomyślnością wielkich panów niszczył dziedziczny majątek, pomimo zabiegów i wysiłków matki, aby powstrzymać ruinę, grożącą im w niedalekiej przyszłości, a on, Henryk, zmuszony był szukać po świecie sytuacyi, mogącej mu zapewnić utrzymanie choć resztek zrujnowanej fortuny.

— A w czemże ja ci tu mogę być pomocnym? — zapytał ze zdziwieniem Delrue.

— Nasz stary plenipotent umarł. Chcę, żebyś go zastąpił. Jest to niebezpieczne stanowisko, ostrzegam cię.

— Dlaczego?

— Smierć jego otoczona jest tajemnicą, wypadek na polowaniu.

— Czybyście mieli nieprzyjaciół?

— Gorzej, bo przyjaciół fałszywych... którzy zniszczą mojego ojca, jeżeli go nie potrafimy obronić.

— Ale z jakiej przyczyny ludzie ci mogli czuć nienawiść do plenipotenta markiza?

— Oh! To był prawdziwy Bretończyk, bronił naszego mienia, jak pies najwierniejszy i zawadzał tym naszym przyjaciołom. Takie jest moje przekonanie.

— Chcesz, żebym go zastąpił?

— Andrzeju! Ty jeden, jedyny!

— A więc masz moją rękę. Od dziś dnia poświęcę życie całe rodzinie twojej.

Henryk ze wzruszeniem uściskał przyjaciela. Nazajutrz Andrzej Delrue stawił się w pałacu Kermorów przy ul. Beotic, gorąco polecony przez przyjaciela staremu markizowi. Przyjęto go, jak dawnego, dobrego znajomego. Markiz był olśniony żywą inteligencyą nowego plenipotenta, jego taktem i znajomością ludzi.

— Andrzeju — rzekł Henryk, gdy po dłuższej konferencyi z ojcem, młodzi ludzie znaleźli się sami — mam nadzieję, że potrafisz zaszachować podstępne zamiary barona le Bressien, który najwięcej korzysta z łatwowierności ojca.

— To ten bankier z bulwaru Haussmana?

— Tak! Stał się cieniem markiza. A układny przytem i nadskakujący. Nie dowierzaj mu, Andrzeju, proszę cię.

— Bądź spokojny, będę się miał na ostrożności.

Jeszcze tego samego dnia Delrue postanowił wykupić koniecznie od lichwiarza ów nieszczęsny kwit z jego podpisem. Na szczęście nie był bez pieniędzy. Henryk wsunął mu delikatnie do kieszeni 1.500 franków; była to suma, którą miał odtąd pobierać kwartalnie za pracę swoją.

Pierwszem staraniem nowego plenipotenta było przebrać się od stóp do głów i odesłać przez posłańca panu Collin-Megret pożyczone od niego ubranie. Następnie wsiadł do otwartego powozu, zapalił cygaro i kazał się zawieźć na ulicę św. Łazarza.

Pani Wiktorya stała właśnie na progu swojego mieszkania, a stary lichwiarz siedział za okienkiem w kancelaryi swej, zajęty przeglądaniem rachunków.

— Dzień dobry, ojcze Collin-Megret. Otrzymałeś moją przesyłkę wraz z zapowiedzią odwiedzin? — zapytał śmiało Delrue.

— He? co? Co za przesyłka? Jakie odwiedziny? — skoczył lichwiarz, wyprowadzony ze zwykłego spokoju.

— Jaka przesyłka! Ależ ta z ubraniem, łaskawie mi wypożyczonem przez pana, szanowny panie Collin Megret.

— Nie otrzymałem nic i nie wiem, do czego pan zmierza.

— Oh! szkoda moich kilku franków, danych posłańcowi. Kanalia! widocznie nie odniósł, szczęście, że zapamiętałem sobie jego numer.

— Policyanci także noszą numera. Czy chcesz pan, abym zawołał tu jednego?

— Jednego? Wolne żarty, ojcze Collin-Megret! Potrzeba nam dwóch, a przepraszam, trzech, zapomniałem o czcigodnej pani Collin-Megret.

Na te słowa dyrektor przedsiębiorstwa zerwał się z krzesła.

— Pani Collin-Megret? — powtórzył, jąkając się. — Chodź pan za mną do gabinetu, tu nie można mówić!

Lichwiarz dyszał ciężko, wstępując po stromych, wąskich schodach do swojego mieszkania. Widoczne zuchwalstwo jego sekretarza i wygląd, świadczący o nagłym dobrobycie, zaniepokoiły go bardzo.

— Oh! oh! — zawołał Andrzej Delrue, wchodząc do gabinetu — Co widzę! Oto moja przesyłka i rozpakowana do tego! Psujesz mi się, ojcze Collin-Megret, i przestajesz być szczerym.

— Będę nim — wybuchnął lichwiarz — Wiedz, że szantaż nie udaje się ze mną. Delrue, ty masz pieniądze w kieszeni, ale to są pieniądze kradzione! Podwójnie trzymam cię w ręce!

— Galopujesz się w przypuszczeniach, szanowny pryncypale, przekonam cię wkrótce.

— To ja cię przekonam, że ograbiłeś tego piwowara z Wiednia. Znaleziono go dziś rano na ławce bez centima w kieszeni.

— Oh! oh! To ciekawe! Musiał być w dobrej kompanii!

— Był z panem! Tylko z panem!

— Pomyłka! Ten wiedeński turysta był zupełnie pijany. Puściłem go wiec, robił co chciał. Uspokój się pan, panie Collin-Megret, mam dobre alibi dla siebie.

— Swiadectwo wspólnika.

— Coś innego! Spędziłem wieczór w towarzystwie dawnego kolegi, który...

— Który? podchwycił lichwiarz.

— Należy do policyi — kończył spokojnie Delrue — Mam nawet zamiar wstąpić do tej wspaniałej korporacyi.

— Oh! — mruknął aferzysta ze złością — I tak zaraz wspaniałomyślnie opłacono twoje usługi?

— Zapewne, znam tyle interesujących rzeczy!

— Domyślam się! Zdradziłeś mnie za własne moje pieniądze.

— Druga pomyłka! Zająłem się tylko wyłącznie czcigodną małżonką pana i wspólniczką, panią Wiktoryą.

— Znam ją tylko z widzenia.
— Zamurowałeś więc przejście, łączące wasze mieszkania? A telefon ukryty do czegóż służy? Seperacya kompletna, co?
— To, co mówisz, nie obchodzi mnie wcale.
— A wspólnictwo, to nic?
— W czem?
— Mój Boże, nie chcę obmawiać tej dobrej kobiety, ale wiadomo, że zajmuje się sprawami, które mogą silnie zainteresować policyę.
— Trzebaby dowodów!
— Będą, panie Collin-Megret.
— Czego chcesz wkońcu odemnie? — zawołał czerwony z gniewu lichwiarz — Grozisz mi? Wypowiadasz wojnę?
— Nie jestem tak głupi, za jakiego mnie masz. Oddaj mi pan to, co wiesz, a pokój zawarty. Możemy nawet zostać przyjaciółmi!
— Wszystkie moje papiery złożone są w pewnem miejscu — odpowiedział wymijająco Collin-Megret.
— A no, to powrócę, kiedy te papiery znajdą się tutaj?
— Nie robię nic darmo, mój przyjacielu!
— Oh! chciałbyś mi odsprzedać ten papierek?
— Dlaczego nie? Należy do mnie.
— Słuszność. Ile żądasz?
— Tysiąc franków, to za darmo!
— Tysiąc franków? Dlaczego nie sto tysięcy?
— Dlatego, iż wiem, że ich nie posiadasz.
— A tysiąc?
— Jesteś inteligentny, znajdziesz je.
— Dobrze — odpowiedział Delrue — kończymy zatem. Oto są pieniądzę.

Delrue był na tyle nieostrożnym, że zdradził się z posiadania większej sumy, pan Collin-Megret pochwycił w lot sposobność wyciągnięcia od niego jeszcze więcej.

— Powtarzam ci, że papierów nie mam u siebie — rzekł niedbale. — Wróć za tydzień, pogadamy, a teraz żałuję mocno...
— Dobrze — szepnął z wściekłością Delrue — Ale pamiętaj, strzeż się! Ja również jestem dobrze uzbrojony.
— Dziękuję za ostrzeżenie. Oto główne schody. Do widzenia, panie Delrue.

Andrzej wyszedł z przekonaniem, że pogrążył się bardziej jeszcze. Pospieszył się zanadto, a cała kombinacya z policyą nie miała cech prawdopodobieństwa.

Niezadowolony z siebie powrócił do pałacu de Kermor, nie domyślając się, że jest śledzony zdaleka przez jedną z robotnic pani Wiktoryi.

Zaraz nazajutrz okoliczności się tak złożyły, że Andrzej mógł się zapoznać osobiście z bankierem de Bressien, cichym wspólnikiem pana Collin Megret, którego się obawiał na równi z tym ostatnim.

Bankier przypatrywał mu się badawczo i zaledwie raczył słuchać, gdy Andrzej przedstawił mu plany nowej organizacyi, zredukowania procentów, płac.

— Jesteś młody, mój przyjacielu — rzekł wkońcu dobrodusznie — Paryż, to drogie miasto! Przekonasz się o tem.

„Jesteś młody", słowa te przypomniały mu dawniejszego pryncypała. Ten sam sposób dobroduszny mówienia, badawcze spojrzenie, lekceważące traktowanie jego osoby. Andrzej przeczuwał, że baron de Bressien, to drugi Collin-Megret, tylko potężniejszy i niebezpieczniejszy od tamtego.

Bankier również nie czuł się zadowolonym z nowego sekretarza Kermorów.

— Skądże ten chłopak wziął się tutaj — mruczał gniewnie, chodząc po swoim gabinecie — Muszę zbadać jego przeszłość. Może się da kupić, chociaż nie zdaje mi się. Jest przyjacielem syna, a więc moim wrogiem. Trzeba koniecznie wybadać słabą jego stronę. Ojciec Collin-Megret mi w tem dopomoże.

Nie zwlekając, zatelefonował po lichwiarza.

W dwadzieścia minut później tenże układny i nadskakujący wsunął się do gabinetu bankiera.

— Collin-Megret — rzekł baron — mam robotę dla ciebie, liczę na twój spryt.
— Ah! panie baronie — odparł Collin-Megret, kłaniając się nizko, jestem jak zawsze na pana usługi.
— Znasz markiza de Kermor? Jest to jeden z moich najlepszych klientów. Sekretarz jego nowy, zdaje się, jest moim przeciwnikiem, przeszkadza mi. Nazywa się Delrue.
— Andrzej Delrue.
— Oh! znasz go także? Wiesz co o nim?
— Obowiązkiem moim jest wiedzieć wszystko, panie baronie.
— Doskonale! A więc ten Delrue?
— Mamy go w ręce, to fałszerz i złodziej!
— Dowody są, mój kochany?
— Mam je przy sobie, ale za jaką sumę mam go usunąć?
— Za dziesięć tysięcy franków.

Pan Collin-Megret wyciągnął z porfelu kartkę zastawniczą i kwit, podpisany przez Andrzeja.

— Tracę na tem, grubo tracę — westchnął ciężko. — Ten młody człowiek jest zdolny wkrótce podwójnie opłacić ten grzeszek młodości. Miał przyjść do mnie w tych dniach, co mam mu powiedzieć?
— Ze oczekuję go.
— Jestem na usługi pana barona. Oto dokumencik.
— Dziękuję. Masz kwit i przejdź do kasy, ale przedtem opowiedz mi, jak doszedłeś do znajomości z tym obiecującym młodzieńcem.

Gdy Collin-Megret skończył opowiadanie, bankier roześmiał się z zadowoleniem.

— Na honor, czarodziejem jesteś, mój Collin-Megret. Jakiż z ciebie nieoceniony człowiek, zręczny, dyskretny, ale kosztowny cokolwiek! No, do widzenia, stary łobuzie!

Król złota.

Kiedy w kilka dni później Andrzej Delrue zjawił się przed okienkiem kantoru starego lichwiarza, tenże zapytał go gburowato:

— Czegóż pan jeszcze żądasz odemnie?

Delrue wyciągnął banknot i podsunął mu go pod oczy.

— Nie do zrobienia, panie Delrue.
— Ależ ojcze Megret.
— Niema ojca Megret, jest tylko nabywca kwitów zastawniczych, który deponuje je u swojego bankiera. Mieszka on na bulwarze Haussmana, baron Bressien, oczekuje właśnie pana. Zegnam.

Delrue wyszedł na ulicę zgnębiony, zmalały, chwiejąc się na nogach. Widocznie za mało miał sił do walki z życiem, nigdy nie dojdzie do niczego, będzie zawsze nędznym niewolnikiem, wyglądającym łaski swojego pana.

Bankier przyjął go z pańską wyrozumiałością. Powodowany litośaią, na widok osłabłego i drżącego sekretarza, raczył wskazać mu krzesło i rzekł dobrotliwie:

— Panie Delrue, stawia mnie pan w nieprzyjemną sytuacyę. Rzecz jest jednak jasna. Jestem bankierem i pożyczam, albo skupuję wartości. Otóż z takim wartościowym papierkiem przyszedł do mnie pan Collin-Megret, finansista, który nie posiada dostatecznych kapitałów, aby mógł się puszczać na ryzykowne przedsięwzięcia. Ale ten kwit zastawniczy był sfałszowany. Zazwyczaj w podobnych sprawach dają natychmiast znać do prokuratoryi. Uderzyło mnie jednak nazwisko pana. Pomyślałem sobie: Collin-Megret musiał się dowiedzieć, że ten młody człowiek posiada ładne stanowisko u markiza de Kermor i chce sytuacyę wykorzystać. Ci nędzni lichwiarze zdolni są do wszystkiego. Zachowałem więc kwit u siebie. Co mam z nim zrobić? Sumienie nakazuje mi...

— Panie baronie, łaski! — wyszeptał Delrue — łaski! Nie gub mnie pan! Byłem wówczas tak młody.
— Właśnie, właśnie! Przypuścimy, że sprawiedliwość o tem się nie dowie. Ale pan de Kermor jest moim klientem, przyjacielem, bywam w jego domu, sumienie nakazuje mi ostrzedz go... bo kto raz pił, ten pić będzie — powiada przysłowie — Gdyby się coś podobnego zdarzyło, wina w połowie spada na mnie.
— Oh! panie baronie! To się już nigdy nie stanie!
— Wierzę. Zdaje mi się, że pan całą duszą oddałeś się sprawom rodziny Kermor. Jeżeli dalej tak uczciwie w tym kierunku pracować będziesz, jestem zdolny do milczenia. Kwit znajduje się tutaj — dodał, wskazując kasę ogniotrwałą — Zachowuję go jedynie dla przypomnienia panu przeszłości i abyś nie popadł w recydywę. No, panie Delrue, zwracam panu mój szacunek, staraj się zasłużyć nań, a kiedyś zatrzemy ten grzech lekkomyślności. Przyjmuję w poniedziałki rano. Nie pisz pan do mnie, nie lubię pisma.

Delrue znalazł się na bulwarze w dziwnym nastroju. Nie wiedział, co się z nim dzieje, czego ma się obawiać i czego spodziewać. Gdy opamiętał się cokolwiek, zrozumiał, że chcąc uniknąć najgorszych dla siebie skutków, zmuszony jest zdradzić markiza de Kermor na korzyść barona de Bressien. Musiał więc uznać się za zwyciężonego i umiejętnie przeprowadzić podwójną grę.

Pierwszym odruchem dobrej woli względem barona było odsunięcie wszelkich tych finansistów, których tenże wskazał mu na przyjęciach poniedziałkowych.

Następnie oddalił służącego markiza pod zarzutem kradzieży, przyjmując na miejsce jego osobistość, podsuniętą mu przez bankiera. To samo stało się ze stangretem i głównym kamerdynerem. Delrue szpiegował resztę służby i wzamian czuł się szpiegowanym przez tamtych. Życie dla niego stało się nie do zniesienia. A tymczasem ruina zbliżała się. Dopomagał do tego dzielne rozrzutny i lekkomyślny markiz, który pojął sobie za dewizę żyć z dnia na dzień, nie patrząc przed siebie.

Wówczas to Henryk, coraz więcej zaniepokojony, w przeddzień ekspedycyi swojej do Afryki, zawezwał Andrzeja, powołując się na jego przyjaźń i poświęcenie.

— Andrzeju! Uczyniłeś już wiele dla nas, ale zaklinam cię, staraj się teraz gorąco odsunąć barona de Bressien. On nie może być naszym bankierem. Człowiek ten zniszczy nas!

Andrzej potrząsnął smutnie głową.

— Może cię dotknę, Henryku, ale muszę ci wyjawić prawdę. Niszczycielem nie jest baron, ale twój ojciec.
— A jednak w początkach przyznawałeś...
— Pomyliłem się. Pozbyłem się drobniejszych lichwiarzy.
— A dlaczego nie możesz się pozbyt tego?
— Trzeba go kimś zastąpić, a to nie jest łatwe.
— Zastąpić? Dlaczego? Posiadamy przecież dobra, dochody. A wkońcu dlaczego nie wziąć notaryusza do pomocy?
— To na jedno wyjdzie, bo wówczas trzeba będzie wszystko spieniężyć, zlokalizować, utworzyć kasę, z której nadal czerpać będzie twój ojciec.
— Więc pozostawić wszystko biegowi rzeczy?
— Tego nie mówię. Interesa dawnoby się już ułożyły, gdyby nie markiz, który z pod ręki zabiera to, co wpłynie. A kiedy pan de Kermor żąda jeszcze pieniędzy, a ja ich nie mam do dyspozycyi, mówi mi zawsze: „No, to zatelefonuj, panie Delrue, do barona, żeby tu przyszedł". I dlatego to de Bressien nie wychodzi prawie z pałacu. Cóż ja wtedy mam począć?
— Rozumiem cię, Andrzeju!
— A markiz nigdy czekać nie zechce. Musi mieć natychmiast, czego żąda. Markiza już sama przestała reagować, podpisuje weksle, a markiz posiada resztą pełne jej pełnomocnictwo.
— A więc, jeżeli matka bronić się nie umie, to ja ją obronię, cobądź by się stało.

Po tej rozmowie nastąpiła gwałtowna dyskusya między synem, a ojcem. Doprowadzony do ostateczności, widząc bezskuteczność swoich argumentów, zawołał wybiegając z gabinetu ojca:

— A więc dobrze, mój ojcze! Masz słuszność! Niech i tak będzie! Ale ja tu ani godziny dłużej nie pozostanę. Pójdę zarobić na chleb dla mnie i mojej matki, bo dzięki tobie wkrótce go jej zabraknie.

Wówczas to Henryk zaangażował się do ekspedycyi w głąb Afryki i odjechał, pozostawiając na placu działania barona de Bressien i Andrzeja Delrue.

Posag Sydonii.

Sekretarz markiza de Kermor, zwolniony odjazdem Henryka ze wszystkich zobowiązań i przymusu, postanowił mieszać się jak najmniej do interesów.

Markiza zaś, ostrzeżona przez syna, nabrała cokolwiek odwagi i ujęła w swoje ręce ster spraw osobistych, pragnąc choć dla jedynaka, którego kochała nad życie, uratować choć okruchy magnackiej niegdyś fortuny.

Ale kiedy pierwszy raz zażądała w tym kierunku oficyalnej rozmowy z bankierem, tenże uśmiechnął się dobrodusznie i wyrzekł błagalnie:

— Pani markizo, proszę, nie mówmy o tem. Gdyby pani wiedziała! I ja również jestem ofiarą wypadków! Niech między nami nie będzie mowy o kwestyach finansowych. Córka moja objaśni panią markizę lepiej. Niech pani z nią pomówi; dałem jej całkowite pełnomocnictwo działania.

W ten sposób panna Sydonia została wprowadzona do pałacu, aby ze wzruszeniem oznajmić markizie, „że zacny jej ojciec zrzeka się wszelkich pretensyi procentowych, byleby otrzymać kapitał włożony i t. d."

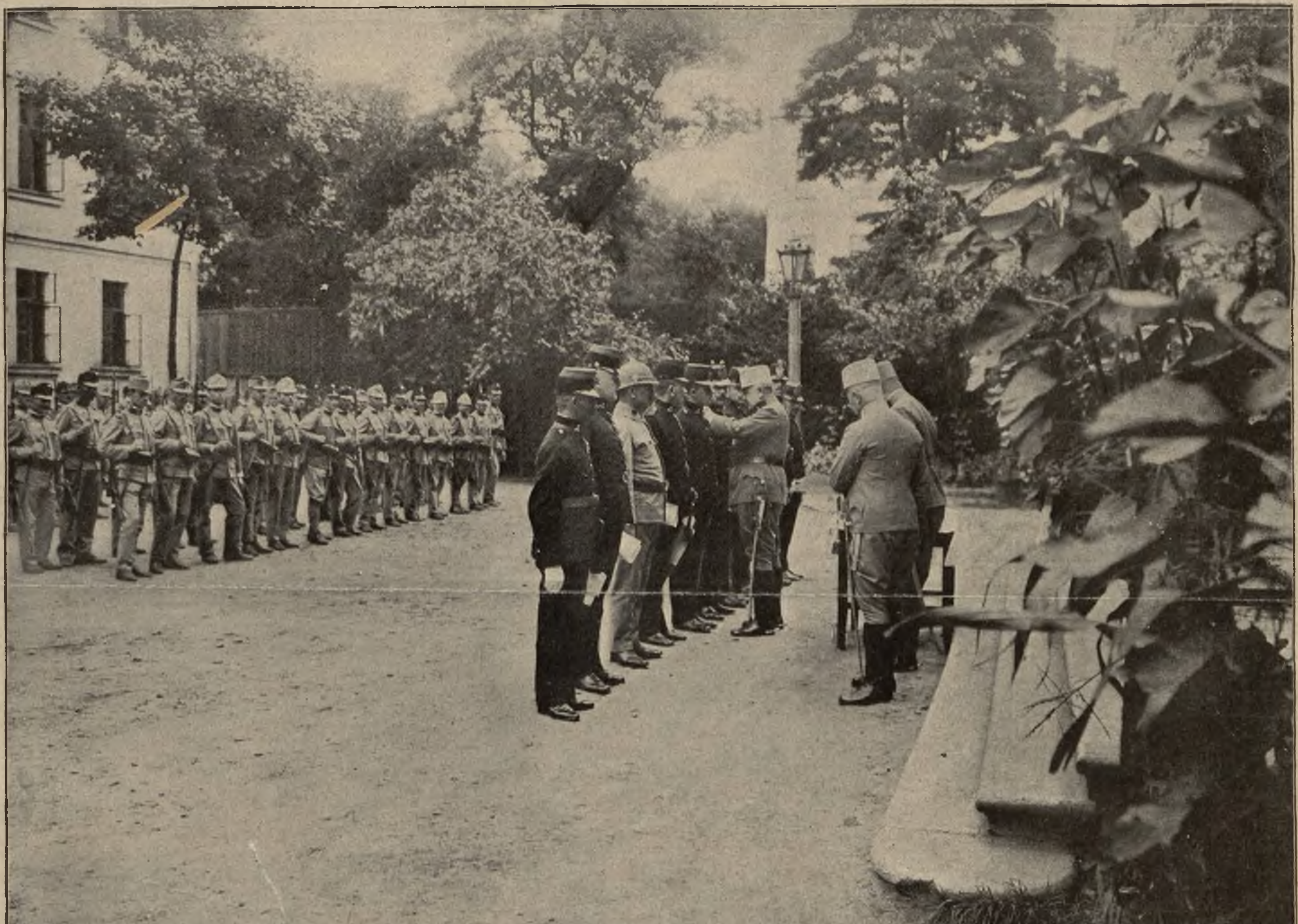
Sydonia spostrzegła jednak, że nie uczyniła na markizie dobrego wrażenia, postanowiła więc powoli zdobywać jej sympatye przeciwieństwem tego, czem była w rzeczywistości. Zrobiła się skromną, potulną i umiała zręcznie naprowadzać zawsze rozmowę na młodego hrabiego, co wkońcu podziałało silniej, niż wszystkie inne jej artystyczne sztuczki.

Markiza w samotności swojej przyzwyczaiła się prędko do częstych odwiedzin córki bankiera, która w porozumieniu z ojcem zręcznie swój plan coraz bardziej rozwijała.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Odznaczenia krakowskich żołnierzy policyjnych: Komendant c. i k. kapitan W. Kalik przed frontem oddziału.



Odznaczenia krakowskich żołnierzy policyjnych: Uroczyste przypięcie odznaczeń przez c. i k. kapitana W. Kalika.

Kronika tygodniowa.

W ubiegłą niedzielę, t. j. dnia 18 lipca b. r., w dzień św. Szymona z Lipnicy (a nie Jana, jak chciał autor afisza, zapowiadającego „wielgi fest“ w Parku Jordana) pokazało się dopiero, dlaczego dotąd nie mieliśmy deszczu, o który tak gorąco prosili rolnicy, fizykat, zakład czyszczenia miasta i ogół mieszkańców. Nie była temu winna ani kanikuła, ani sytuacya polityczna, ani niebieski referent od pogody! Przyczyny trzeba szukać gdzieindziej, a z pewnością się ją znajdzie.

A czy wiecie, Państwo, gdzie? W okoliczności, iż tego roku nie było w Krakowie ani jednego prawdziwego festynu. Skoro go tylko na niedzielę zapowiedziano, zaczęło się chmurzyć już w sobotę, a potem lunął sobie deszczyk, jak się patrzy, tak, że o wycieczce za miasto ani myśli, trzeba było szukać jakiegoś bezpiecznego, a suchego odcinka, gdzieby można było kilka godzin w spokoju przepędzić. Przyszło to o tyle łatwiej, iż magistrat zniósł drakoński zakaz picia wódki na stojączki, z tem przecież zastrzeżeniem, że kto pije stojąco, nie może równocześnie czynić tego siedząco i odwrotnie.

Niepogoda owa, aczkolwiek spodziewana i gorąco oczekiwana, podziałała przecież ujemnie na niektóre umysły, czego najlepszym dowodem, iż dwu z mych znajomych, choć kochają się, jak dwa gołąbki, pokłóciło się przy bilardzie, poprzysięgając sobie nieprzyjaźń aż do grobowej deski, albo bodaj do chwili, gdy się znowu uroczyście pogodzą.

Od niepamiętnych czasów, prawdopodobnie odtąd, gdy festyny wynaleziono (bodaj pękł, kto to uczynił!...), panuje w Krakowie taki zwyczaj, że właśnie wtedy deszcz pada, zwłaszcza, jeśli na ten dzień zapowiedziano jeszcze produkcye pyrotechniczne, czyli ognie sztuczne. To była zawsze okoliczność obciążająca.

Opowiadał mi onegdaj pewien radca miejski (prawdziwy, ale obecnie w stanie spoczynku), iż przed laty zdarzył się raz wypadek tego rodzaju, że przez całe lato nie było nigdy deszczu w dzień powszedni, padał natomiast regularnie w każdą niedzielę i święto i to już od samego rana aż do późnego wieczora. Ludziska narzekali, cóż jednak było robić, trzeba się było pogodzić z przykrą rzeczywistością. Zastanawiano się nad tem niejednokrotnie, dlaczego deszcz pada właśnie w te dni, a nie inne, zapytywano o radę w obserwatoryum astronomicznem (Akademii Umiejętności jeszcze nie było na świecie), ostatecznie zaczęto nawet czynić kroki, aby niedzielę przenieść na inny dzień tygodnia, na co znów nie chciały się żadną miarą zgodzić władze kościelne.

Tymczasem w pewien dzień tygodnia, zdaje mi się we czwartek lub w piątek, w każdym razie w dzień, na który nie przypadał żaden festyn (dni kwiatka wówczas nieznano) lunął deszcz jak z cebra i to w samo południe, w chwili, gdy ów późniejszy radca miejski w odświętnym anglezie wybrał się do jednego z przyjaciół na imieniny. Dla ścisłości muszę dodać, iż ubrania tego używał z zasady, jak na porządnego mieszczanina i obywatela przystało, jedynie tylko w niedziele i święta.

Ponieważ był to chłop, jak to powiadają nie w ciemię bity, zwrócił też na tę okoliczność baczną uwagę i zaczął przemyśliwać, czy też jego czarny surdut nie ma przypadkiem jakiego związku z owym deszczem.

W tem mniemaniu utwierdziło go jeszcze, że w najbliższą niedzielę, gdy wyjątkowo wystroił się w pepitkowe inekspimable i jedwabną marynarkę, pogoda utrzymała się przez cały dzień.

— Więc jest coś w tem! — powiedział sobie — Mój surdut ma jakiś magiczny wpływ na niebieskie upusty!... — i, aby się o tem przekonać dowodnie, specyalnie wystroił się na czarno w poniedziałek, gdy od samego rana na niebie nie było ani jednej chmurki.

Zaledwie wyszedł na planty, niebo pokryło się chmurami i nie upłynęło więcej, jak pół godziny, lunęło, jak z cebra.

Wobec tego nie należało już wątpić, że surdut ów deszcz sprowadza. Ale w jaki sposób i dlaczego?... Otóż sęk, a w tym sęku dziura!

Od czegóż jednak człowiek ma głowę, a w tej głowie rozum? Wziął więc w rękę nóż i nuż pruć surdut, by się przekonać, czy czegoś tam we wnętrzu tajemniczego nie znajdzie... Niestety, prócz waty i podszewki nie było nic!... Badał tak dokładnie, iż nie darował nawet żadnej dziurce od guzika, wreszcie zwątpił, czy dojdzie do jakiegoś rezultatu, zwłaszcza, że pozostał mu tylko kołnierz, dotąd jeszcze nie zbadany.

Wziął się jednak i do niego. Kraje, rozrywa, pod ręką czuje jakiś papier, który przemyślny krawiec włożył tam, by kołnierz tem sztywniejszym uczynić. Wyciąga go więc i ogląda, kawałek jakiegoś afisza.

Czyta więc, co też tam stoi „wydurkowane“ i widzi z podziwem, że to afisz z ubiegłego roku, zapowiadający w ogrodzie Strzeleckim wielki festyn, który zakończą produkcye pyrotechniczne!...

Wylazło więc w ten sposób szydło z worka, pokazało się, że wystarczy nawet kawałek afisza festynowego i to do tego zaszyty w kołnierzu, by deszcz sprowadzić.

Gdyby nie to, że surdut ów pokrajał na kawałki, czego dziś jeszcze mocno żałuje, mógł go był doskonale spieniężyć, choć Aron Gajer wówczas nie urzędował. Na wieść, że istniał przedmiot w tak ścisłym związku z deszczem stojący, zgłaszali się doń różni agraryusze z propozycyą kupienia surduta lub bodaj z prośbą o podanie adresu krawca, który wyrabia taką garderobę, deszcz sprowadzającą. Niestety, każdy z nich musiał odejść z kwitkiem. Surdut już nie istniał, krawiec także już nie żył, gdyż Kostusia w międzyczasie przerwała nić jego żywota...

Jasnem przecież jest jak na dłoni, że między festynami a deszczem istnieje bardzo ścisły związek, o czem powinni byli pamiętać panowie, pracujący w różnych komitetach festynowych. Gdy ludziska narzekali na posuchę, należało tylko ogłosić festyn, a mielibyśmy byli deszczyk upragniony.

Zakład czyszczenia miasta, który podobno ma być obecnie zreformowany, t. j. śnieg wywozić w lecie, a śmieci w zimie, powinien zaopatrzyć się w kilka podobnych surdutów i obdzielić nimi swych funkcyonaryuszy. Potrzeba deszczu, wysyła się jednego lub dwu panów, przystrojonych w takie „deszczoroby“, na ulice, chce się zaś pogody, surduty idą pod klucz.

Oszczędziłoby się przy tej manipulacyi na kosztach czyszczenia miasta, nie marnowałoby się też wody wodociągowej do polewania ulic, skoro wiślanej, zanieczyszczonej pono prątkami cholerycznymi, w tym celu używać nie wolno.

Onegdaj sam widziałem kilku bakteryologów z wędkami nad Wisłą. Gdym jednego z nich zapytał, co łowi, odpowiedział mi, że bakcyle z polecenia pana fizyka. Jeden okaz wypchany (bakcyl, nie bakteryolog!... Proszę się nie pomylić!) wystawiony będzie na Rynku krakowskim, by P. T. Publiczność wiedziała, czego się ma strzedz. Szkoda tylko, że wobec ograniczenia sprzedaży alkoholu racyonalna dezynfekcya przewodu pokarmowego jest bardzo utrudnioną.

Tyle chyba wystarczy o deszczu, festynach i cholerze, gotów mnie bowiem kto posądzić, że brak mi innego materyału, gdy tymczasem tak nie jest! Jako pilny a sumienny kronikarz dzień cały z notesem w jednej, a ołówkiem w drugiej ręce kręcę się między ludźmi i chwytam na papier, co tylko uznam za stosowne. W tym samym celu wertuję też codziennie całe stosy pism rozmaitych, z których dowiaduję się zawsze wielu rzeczy ciekawych.

I tak skonstatowałem onegdaj, że Włosi z każdym dniem powiększają swą flotyllę łodzi podwodnych, zamieniając na nie nawet większe krążowniki, jak n. p. Amalfi i Giuseppe Garibaldi, w czem pomagają im bardzo wydatnie austryackie torpedy. Jeśli tak dalej pójdzie w tym samym stosunku, za jaki miesiąc będą mieli całą swą eskadrę już pod wodą, wobec czego i wojna może się raz skończy.

Pewna wróżka z Podgórza przepowiedziała na dzień 22. lipca b. r. jakieś bardzo wesołe wydarzenie, w tym jednak dniu *Nowości Illustrowane* są już w ręku Czytelników, wobec czego kwestyą tą zająć się możemy dopiero w następnym numerze. Ja przypuszczam, że najbardziej ucieszyłaby każdego wiadomość, iż wojna już się ukończyła, zawarto pokój i nastały normalne czasy. Wówczas wszyscy, jak jeden mąż, zabierzemy się do naprawy tego, co nam tymczasem się popsuło, postaramy się też, by zapobiedz wyludnieniu kraju. To obowiązek każdego uczciwego człowieka, nikt też chyba odeń się nie uchyli. Wszak nawet i w czasie wojennym otrzymują żołnierze urlopy na żniwa, z poleceniem, by potem złożyli z swych czynności sprawozdanie.

O notach, jakie rozmaite państwa ze sobą zamieniają, pisać nie będę, każdy, kto ma oczy ku czytaniu, znalazł to w pismach codziennych, powtórzone nawet po kilkanaście razy. Szersza polityka to zresztą nie mój fach, ja tam wolę zajmować się więcej sprawami domowemi, to jest odnoszącemi się do naszego kochanego Krakowa,

Co do grożącego nam bezkrólewia, o którem wspomniałem przy końcu poprzedniej kroniki, to dotąd nic pewnego nie wiemy, pojawiły sie tylko luźne wiadomości, iż rada przyboczna i prezydyum miasta postanowiły przyznać w danym wypadku panu prezydentowi pełną emeryturę w kwocie ośmnastu tysięcy koron rocznie.

Ładne to zaopatrzenie na starość! Choć czuję jeszcze dość siły w swych spracowanych zresztą członkach, bardzo chętnie zacząłbym udawać niezdolnego do pracy, gdybym tylko wiedział, że i ja coś podobnego dostanę. A kronikarz *Nowości Illustrowanych* zasłużył sobie chyba na taką pomoc na stare lata, zwłaszcza, że nie posiada on ani parcel budowlanych, ani kamienic, ani nawet wołu albo osła...

Kraków ma zaś widocznie flotę, kreuje bowiem ciągle nowe posady, które wymagają coraz to większych wydatków. Niedawno ustanowiono urząd jeneralnego aprowizatora głodnych mieszkańców miasta, co ma kosztować rocznie około jedenastu tysięcy koron, powinno się wobec tego znaleźć bodaj z dziesięć tysięcy na emeryturę dla mnie.

Ze zaś Kraków jest naprawdę „Wielki“, o tem przekonałem się już choćby z tego, iż posiada odtąd aż dwu syndyków, w których jeden nazywa się „z tej stony Wisły“, drugi „z tamtej“. Dotąd wiedziałem z geografii, że istnieją kraje z tej i tamtej strony Litawy lub Anizy, obecnie ten sam podział zastosować trzeba do syndyków miejskich.

Podobno we Wiedniu jest tylko jeden syndyk i to wystarczy. Kraków musi ich mieć aż dwu, każdego na innym brzegu Wisły, bo nuż ona wyleje, zerwie mosty i uniemożliwi komunikowanie się między obu połowami miasta?

Z kolei rzeczy zawadzić muszę także i o olej rycynowy, który w takim ścisłym związku stoi z naszemi sprawami wewnętrznemi. Wodę pić nam już wolno, ułatwiono także konsumcyę trunków palonych, obostrzono natomiast przepisy, odnoszące się do sprzedaży tego wypróbowanego środka, przy którego pomocy bardzo łatwo można się pozbyć tego, co nam dolega. Skutek to wojny, cały zapas oleju rycynowego zabrali podobno Włosi, by w ten sposób podnieść ducha rycerskiego i ruchliwość swych wojowników.

Z konieczności musimy więc obejść się bez olejku, zastąpić go może gorzka woda lub jakiś inny podoby przetwór, ale i z nimi należy się obchodzić bardzo oszczędnie!

Skoro jest mowa o środkach leczniczych, to wspomnę o kłopotach, jakie mają obecnie nasi aptekarze ze swą klientelą, a to dzięki urzędowemu ograniczeniu sprzedaży alkoholu w szynkach.

Opowiadał mi jeden znajomy kręciproszek, iż od pewnego czasu zwiększył się ogromnie popyt na różne medykamenta, należące do tak zwanej ręcznej sprzedaży, a zawierające alkohol, zwłaszcza zaś na tak zwane krople Hoffmanna. Kupują je ludziska w dzień, a nawet i w nocy nie dają aptece spokoju.

Przed kilku dniami zauważył, iż z jednego i tego samego domu kilka razy przychodzono po „krople Hoffmańskie“. Pierwszy raz wydał, drugi raz odmówił, gdy go zaś stary babsztyl jeszcze w nocy z tego samego powodu budził, bez ceremonii wyrzucił ją za drzwi.

Babina nie obraziła się wcale, owszem, na drugi dzień rano, ledwie tylko otwarto podwoje apteki, zjawiła się znowu i mówi:

— Proszę kropli Hoffmańskich za trzydzieści centów.

— Dla kogo? — pyta aptekarz.

— Dla mojego starego, bo go coś ciągiem na wnątrzu gniecie.

— Wezwać doktora! Krople mogę wydać tylko na receptę!

— Na recepkę? A możeby pan aptykorz dali innych kropli!

— Mogę dać miętowych!

— To proszę za trzydzieści centów...

Gdy już otrzymała, puściła farbę, bo pyta:

— A czy te krople można pić, jak wódkę?

Aptekarz zaś na to z uśmiechem:

— Nie! Po tych kroplach, gdy ich zażyć naraz zawiele, mogą nastąpić wymioty.

Starą tak to zgniewało, że zaraz po wyjściu z apteki wypaliła flachą o bruk uliczny.

Potrzeba jest matką wynalazków. Nie wolno kupować wódki, wolno przecież się leczyć, bo nawet pan fizyk woła: „Szanuj zdrowie należycie, bo, jak umrzesz, stracisz życie!“

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane przysłowia:

1) a, a, i, a, a, i
2) a, i, a, a, i, a.

Logogryf.
Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam klęskę żywiołową, która dość często nawiedza jedno z państw Europy.

```
        □
      — □ —
    — — □ — —
  — — — □ — — —
— — — — □ — — — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
      — □ —
        □
      — □ —
    — — □ — —
  — — — □ — — —
— — — — □ — — — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
      — □ —
        □
      — □ —
    — — □ — —
  — — — □ — — —
— — — — □ — — — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
      — □ —
        □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak. 3. Taniec. 4 Planeta. 5 Kraj w Afryce. 6. Zły duch. 7. Zjawisko atmosferyczne 8 Rzeka alpejska. 9. Samogłoska 10 Rzeka w Niemczech. 11. Instrument muzyczny. 12 Kwiat. 13 Roślina gospodarska 14 Środek komunikacyjny 15. Gatunek zboża. 16 Drzewo. 17. Samogłoska. 18. Imię żeńskie. 19. Zwierzę 20. Miejscowość pod Zakopanem. 21. Rodzaj poematu. 22 Inaczej dar. 23 Nabiał. 24. Wykrzyknik. 25 Spółgłoska.

Zadanie konikowe.
Ułożył X. Y., Oświęcim.

sta	bie	przed	czy	gro	szy	po	bie
bu	mil	nie	chmu	nu	o	mie	ciaw
dy	ra	ra	te	gro	żąc	ga	i
czy	rzą	ma	gdzie	śnie	cząc	la	twa
trzy	nad	ma	po	miej	wnet	cha	zie
by	o	sca	ci	zna	grom	rzą	prze
gło	za	ska	chwi	ln	wia	mię	ci
wie	wa	wy	trów	bły	la	dzi	dech

Kwadrat magiczny.
Ułożył Pikuś z Krakowa.

Litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
e e n n
n r r s
s u u z

Znaczenie wyrazów: 1. Bóg grecki. 2. Imię żeńskie. 3. Miasto w Prusach 4. Poeta niemiecki.

Równanie.
Ułożył R. K., Krościenko n. D.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu pseudonim polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{3}+\frac{c}{3}=x$$

$$\frac{d}{3}+\frac{e}{4}+\frac{f}{2}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Inaczej jaskinia b) Godność. c) Gatunek mchow. d) Zwierzę drapieżne z rodziny kotów. e) Rodzaj zagadki. f) Boginie.

Depesza.
Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Z liter na depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

Ino! Łap linki w Wiśle!
I Olski.

Bilety wizytowe.
Ułożył Sz. Kiliński, Szenów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

PROT OTELO HYWREY.

OTOKAR Ks POMNICKI

EWA KIRICKA.

CZULNICKA.

STAN TIUL

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A Marylskiego:* **Dzieje sprawy żydowskiej w Polsce.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 28.

Łamigłówka:
Ogar
Doża
Zeno
Yard
Sawa
Kora
Agar
Nero
Iran
Ezaw
Lena
Wola
Omar
Waza
Amur.

Logogryf:
S c **h** e d a
g r **a** n a t
k a **j** m a n
f i **o** ł e k
m o **t** y k a
g r **a** b i e

Trójkąt magiczny:
S i c h u l s k i
I n s e r a t y
C h r z e s t
H e k t a r
U ł a n i
L o ż a
S e n
K u
I

Łamigłówka:
M i k o ł a j
O r **a** w a
S e **t** n y
K r **ą** ż n i k
A n **z** e l m
L a **e** r t e s
E r **ł** a n
U r **w** i s k o
C z **o** ł o
I n **w** a z y a
E r **a** z m.

Przysłowiówka: Krzywda nie tuczy.

Okienko:
P e g a z
e a o
g a l a r
a a z
z o r z a

Zadanie do przestawienia: Każdy ma swego mola, co go gryzie

Bilety wizytowe: Hypnotyzer. Akcyonaryusz Ekspedytor Subskrybent. Radca komercyjny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Artosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno. Z. Szymanek Nowy Sącz

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Reichenberg, Cieszyn.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Filozofia restauratora.

Ojciec (do syna): Tak, mój synku! Teraz ciężkie czasy, powinno się więc starać, by nic nie szło na marne... Ja tak robię już oddawna. Zostanie coś resztek z klopsa, daje się je do kiełbasy, zostawią zaś goście kiełbasę, robi się z tego znowu klops...

Na kwaterze.

(Dyalog między oficerem a gospodynią).

— Pyszne masełko, panie poruczniku, dziś robione... Palce lizać!

— Jakoś mi nie smakuje!...

— Co też pan mówi...

— Zdaje mi się, że je czuć mydłem.

— Mydłem?... To być nie może! Robi je przecież Kaśka, a ona, jak rok długi, nie ma nigdy z mydłem do czynienia...

Dobre miejsce.

Pani Tomaszowa, wyszedłszy na pożegnanie swego męża, landszturmisty, który miał wyruszyć w pole, widząc go, idącego w szeregu za bardzo grubym żołnierzem, mówi do przyjaciółki:

— Jak to dobrze, że on dostał takie miejsce! Będzie się mógł kryć za nim w razie niebezpieczeństwa!...

Na cele dobroczynne.

Pani: Przyszłam z biletami, urządzamy koncert na dochód rannych żołnierzy...

Pan: Bardzo żałuję, nie mogę być jednak obecnym, gdyż jutro wyjeżdżam z Krakowa na dłuższy czas... Duchem przecież będę z wami!

Pani: A jaki bilecik mam zostawić dla ducha pańskiego?... Mam po pięć koron i dziesięć koron!

Złośliwa.

Pani domu: Chciałam zrobić dziś niespodziankę memu mężowi i sama ugotowałam obiad, jak na złość, nie pokazuje się wcale...

Kucharka (z uśmiechem): Pan musiał poczuć to już na schodach i wrócił do miasta...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego